Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Warszawa, 15 maja 1927 r.
Rok II.

Cena 40 groszy.
№ 5.

Drogi Naprawy

Polityka — Życie gospodarcze — Kultura

UKAZUJE SIĘ W POŁOWIE KAŻDEGO MIESIĄCA

TREŚĆ NUMERU:

BRAK SENTYMENTU

Dr. L. Barański, obecny dyrektor departamentu obrotu pieniężnego Ministerstwa Skarbu, w polemice ze stanowiskiem, zajętem przez P. Wł. Grabskiego w sprawie pierwotnie proponowanych i przez „Czas“ krakowski bronionych warunków przygotowywanej pożyczki zagranicznej, starał się wyszukać różnice psychologiczne obu stanowisk (artykuł w zeszycie 16 b. r. tygodnika „Przemysł i Handel“). Przypomniał sobie, widocznie akademickie spory o „uczucie“ czy „rozum“, sentymentalizm i twórczość i zawyrokował, że stanowisko przeciwne proponowanym warunkom jest rezultatem operowania abstrakcyjnem pojęciem Polski i emocjonalnego, uczuciowego stosunku do spraw państwowych. Te pierwiastki emocjonalne mają, zdaniem autora, przeważać w społeczeństwie polskiem, wywoływać zniechęcenie i rozczarowanie do rzeczywistych stosunków, które odbiegają znacznie od ideału Polski. Dla poparcia swej tezy przytoczył jeden argument — poza sprawą pożyczki zagranicznej — mianowicie, że starano się hasłem ofiarności zastąpić poczucie lojalnego wykonywania obowiązków wobec Skarbu Państwa.

Czy rzeczywiście idealizowanie Polski, sentyment do Państwa odgrywa w społeczeństwie polskiem tak wielką i szkodliwą, w pewnych przynajmniej wypadkach, rolę, jak przypuszcza dr. Barański? Sądzimy wprost przeciwnie — sentymentu tego jest u nas stanowczo za mało, a jest on niezbędny do życia zbiorowego, państwowego — stanowi bowiem i cement społeczny i źródło ożywcze, z którego płynie energja, skierowana do utrzymania, zabezpieczenia i rozwoju Państwa. Rozumie to doskonale obecny Szef Rządu, który często akcentuje znaczenie „impoderabiliów“ w życiu i o ich wzmocnienie w psychologji społeczeństwa walczył. Tego sentymentu nie zastąpią ani rachuby dorobkiewiczów, którzy okres swojej młodości, kiedy „impoderabilia“ powinny najsilniej występować, spędzili na realizowaniu małych zamierzeń—jakby na swojej pozycji można się było utrzymać, ani spekulacja jednostek, dla których manifest międzynarodowej finansjery był tylko dowodem troski o rozwój życia gospodarczego, osób, którym się zdaje, że dla abstrakcyjnych celów wolno poświęcać możność rozwoju swego kraju, że to nie byłoby jednoznaczne z podporządkowaniem potrzeb

Państwa i ludności cudzym dążeniom do ekspansji. Od podstaw tego sentymentu odbiegać będą często te grupy osób, które przyzwyczaiły się do szukania oparcia swoich planów ogólnych na czynnikach zewnętrznych, które nie wierzą w potencjalne siły Państwa i kraju i z góry do nich odnoszą się z uprzedzeniem.

Społeczeństwo polskie niema na ogół głębokiego sentymentu do Państwa w sprawach, które codziennie występują i zaczepiają o bezpośrednie interesy grup społecznych. Poza tem jest b. małe zrozumienie spraw ekonomiczno - finansowych (dowodem tego ostatnio ankieta, rozpisana przez „Przegląd Wieczorny“ w sprawie paszportów zagranicznych, świadcząca o nieprawdopodobnie małem przygotowaniu ekonomicznem wielu osób, biorących w niej udział). Sentyment państwowy wystąpił w latach niepodległości dwa razy w sposób silniejszy: raz w 1920 r. w czasie inwazji bolszewickiej i pomógł do odparcia najazdu — drugi raz w 1924 r. w momencie zwrotnym z okresu anarchji inflancyjnej do względnej stabilizacji gospodarczo - walutowej. Poza tem raczej objawia się zbytnia krótkozwroczność, małe wyrachowanie osobiste, traktowanie spraw państwowych po macoszemu, lekko, na cudzą odpowiedzialność. Przykład przytoczony przez dr. Barańskiego dla poparcia jego tezy świadczy o czemś wręcz przeciwnem: hasło ofiarności na rzecz Skarbu Państwa nie pochodziło z powodu idealizowania Polski i sentymentu do Państwa, ale było przejawem „sobiepaństwa“, chęci wykupienia się od określonych ściśle i przymusowych świadczeń przez dobrowolne co do wielkości i czasu rzucanie grosza na cele publiczne.

Dyskusja na temat pożyczki zagranicznej nie odbywała się na tle dowolnych przypuszczeń i nierealnego traktowania spraw państwowych, ale na gruncie konkretnych propozycyj, publikowanych w niektórych organach, zdawało się najlepiej o sprawie pożyczki poinformowanych i była wywołana troską, aby Państwo i polskie życie gospodarcze przez nieostrożność, brak sentymentu i spekulację doktrynerską nie dostało się w więzy, z których niełatwo możnaby się było wyplątać. Dr. Barański, mając za zadanie spełnienie misji obrońcy stanowiska tych czynników rządowych, które się zaangażowały w warunki proponowane, nie czuje się widocznie mocnym na tym gruncie, gdyż poprzestał na ogólnikach, bez podjęcia konkretnych argumentów lub zapędził się w polemikę z poglądami, których publicznie przynajmniej, nikt nie wypowiadał. Cóż bowiem znaczy rozróżnienie „efektywnej kontroli“ od „obserwacji“ bez wyjaśnienia rzeczywistych istotnych różnic między temi dwoma pojęciami w danej sprawie, albo walka z rzekomemi dążeniami do odrzucenia à priori wszelkiego kontaktu z kapitałem zagranicznym? Kto i kiedy z góry odrzucał porozumienie się z kapitałem zagranicznym? Chodziło o warunki, podstawy porozumienia, a nie o sam fakt pertraktacyj i usiłowanie dojścia w rozmowach do pozytywnych wyników.

Spór toczył się nie tylko na gruncie sentymentu do gospodarczej niepodległości Państwa i niezależności polskiego życia gospodarczego, ale także na podstawie oceny realnych faktów. W dyskusji rzucano przykład Niemiec (dr. Barański również ten przykład przytacza). Dla jednych wystarczył fakt, że Niemcy przyjęły ciężkie warunki kontroli zagranicznej i mimo to rozwijają się ekonomicznie — dla drugiego poglądu ten przykład nie wystarczał, gdyż zdają sobie sprawę z tego, że skutki zależą nie tylko od przyczyn, ale również od układu warunków, na który te przyczyny mają oddziaływać. Sytuacja geograficzno - polityczna i ekonomiczna Polski jest zasadniczo różna od Niemiec i to, co tam może nie szkodzić — dla Polski byłoby zabójczem. Jak zresztą mając przykład Niemiec można równocześnie twierdzić, że gdyby Polska weszła na analogiczną, co Niemcy drogę, byłaby dziś już wolna od kontroli czy obserwacji zagranicznej — kiedy Niemcy dalej pozostają pod kontrolą?

Szersze koła opinji publicznej, pozostały, na ogół, poza dyskusją na temat warunków pożyczki zagranicznej. Być może, że pochodziło to z powodu nieznajomości dokładnej samego tematu, dezorjentacji, skutkiem oficjalnych komunikatów, które przeczyły w tonie, ale nie odpierały w treści, być może jednak, że jest dowodem zbyt mało rozwiniętego „sentymentu“ do spraw państwowych, a jeszcze mniejszej znajomości zagadnień ekonomiczno - finansowych. W dwu kierunkach winna iść akcja publicystyczna i społeczno - polityczna. Poczucie niezależności gospodarczej trzeba wzmocnić i ugruntować, wiedzę ekonomiczną rozszerzyć. Pękną wówczas spekulatywne doktryny, oparte na niewierze w naszą zdolność rozwojową i na szukaniu à priori, przedewszystkiem, oparcia na zewnątrz za wszelką cenę, na wszelkich warunkach.

Jest to tembardziej konieczne, że przeżywamy obecnie energiczną ofenzywę międzynarodowej finansjery i silnych ekonomicznie państw, aby słabsze organizmy gospodarczo - polityczne wprządz w orbitę swoich interesów i podporządkować je sobie — pod hasłem współpracy międzynarodowej.

DWA PROGRAMY

Kampanja publicystyczna, którą prowadzę w sprawie pożyczki zagranicznej, nie daje spokoju pewnym czynnikom obecnego rządu. Dostają się mnie w organach rządowych ostre odprawy. Potępia się mnie za to, że jakobym się opierał na „bezsensownych plotkach o kontroli zagranicznej“, wytyka się moje własne dawne pożyczki, przejaskrawiając fantastycznie różne ich wady. Dostają się mnie epitety „donkiszotowskiej fantazji w walce z urojonemi niebezpieczeństwami“. Nie obywa się przytem od posądzenia mnie o to, że motywem moich krytyk jest „chyba to, że sam pożyczki (obecnej) nie zawierałem“ lub, że „chcę odegrać się w opinji publicznej“. Zarzuca się też mnie, że idę po drogach „psucia interesu państwa“. Odmawia się mnie wogóle prawa do wyrażania sądów i krytyki.

Cała moja praca na stanowisku, które w latach 1924 i 1925 zajmowałem, poddana została przy tej sposobności bezceremonjalnie uproszczonemu potępieniu. Wszystkie dotychczasowe inwektywy i napaści zostały przez obrońców stanowiska pewnych kół rządowych, a głównie przez prof. Krzyżanowskiego, podjęte i ogłoszone w postaci wyroków nieomylnych.

Co warte są te wyroki, to co innego. Są one wyrazem irytacji z jednej strony i braku poczucia moralnego z drugiej. Co bowiem może mieć wspólnego z tem, czy ja mam rację w oświetlaniu spraw kontroli przy pożyczce oraz dewaluacji złotego to, czy w okresie rządów moich pożyczki były zawierane na dostatecznie dobrych warunkach, lub czy budżet był zrównoważony? Trzeba mieć małą dozę wyrobienia moralnego, by uważać, że szkalowaniem cudzych rządów można torować drogę dla takich zamierzeń rządu obecnego, od których sam rząd po namyśle musiał odstąpić. Porównania moich rządów z niczyjemi innemi się nie obawiam. Pierwszy wstąpił przed półtora rokiem na drogę obarczania mnie niesłusznemi i fantastycznie wyolbrzymionemi zarzutami poseł Witos w swoich dwóch broszurach z przed roku. Było to świeżo po mojem odejściu od władzy. Potrzebnem mu to widać było, by siebie rehabilitować i siebie naprzód wysuwać z cienia, w jakiem pozostawał — co istotnie na razie osiągnął.

Ale czy rząd obecny potrzebuje czegoś podobnego dla siebie. Przecież mu nic nie grozi. Ze wszystkich przytem czynników moja krytyka najmniej może być dlań niebezpieczną. Nie reprezentuję żadnego stronnictwa, nie mam żadnego wpływu w obecnym Sejmie, nie myślę o żadnej akcji parlamentarnej wogóle, nie zapisuję się do żadnej organizacji, a więc sądziłem, że krytyka moja będzie przyjęta z większą dozą spokoju, niż to się okazało.

Porównywanie moich rządów z obecnemi, czem się specjalnie zajął prof. Krzyżanowski w „Czasie“, ale co naszkicował poprzednio sam wice-premjer, jest tematem nie na czasie. Moich rządów ostatnich było 23 miesiące, nie licząc poprzednich. Rządy obecne trwają niecałe 12 miesięcy, a bez zmiany gabinetu dopiero siedem miesięcy. Trzeba jeszcze sporo poczekać, by sąd mógł wypaść jako-tako sprawiedliwie W każdym razie muszę przypomnieć, że pierwsze dwanaście miesięcy moich rządów były świadkiem wcale nie mniejszych, a tylko nieco większych powodzeń na polu finansowem, niż ostatnie 12 miesięcy, jakie teraz przeżyliśmy. Jestem natomiast przekonany, że dalsze 11 miesięcy będą dla obecnego rządu dużo bardziej szczęśliwe, niż okazały się one dla mnie. Życzę mu tego z całem przekonaniem, bo życzę tego dla dobra Polski.

Ale co jest najbardziej w całej tej kampanji, przeciwko mnie z okopów rządowych wszczętej, gorszącem, to to, że obrońcy tych okopów zapominają o interesie państwowym, okazując zbytnią nadwrażliwość na gruncie własnego prestiżu.

Kampanja, którą rozpocząłem, miała na celu nie psucie wszelkiej pożyczki wogóle, gdyż potrzeby pożyczki nigdy nie negowałem, ale doprowadzenie do tego, by przy pożyczce zagranicznej nie przyjmować kontroli obcej, ani też programu obcego odnośnie do złotego. Wszak przeciwko kontroli przy pożyczce zagranicznej występowałem w prasie już rok temu, gdy zupełnie inny rząd był u władzy i wtedy miałem za sobą tę część prasy rządowej, która mnie dziś krytykuje. Czyż poruszenie tej samej sprawy dzisiaj nie było moim prawem i obowiązkiem? Przeciwko niebezpieczeństwom wpływów u nas obcych występuję nie od dziś. Od kontroli obcej obroniłem Polskę i w początkach 1924 r., gdy przygotowywała ją misja wice-ministra angielskiego Younga i w końcu tegoż roku, gdy postulat tej kontroli był postawiony w Londynie przez innego wice-ministra angielskiego, przewodniczącego komisji konwersji międzynarodowej „relief“ — kredytów, które Polska w pierwszych latach swego bytu państwowego pozaciągała. Brałem to przeciwstawienie się ówczesnym planom na moją odpowiedzialność i nabrałem przez to moralnego prawa, by żądać, aby moi następcy robili to samo. Powoływanie się na to, że istnieje u nas przy monopolu tytoniowym reprezentant wierzycieli włoskich, nie może stanowić żadnego dowodu, żeby można każdą kontrolę uważać za dopuszczalną. Że reprezentant ten żadnej nie odgrywa roli i że żadnego nie ma znaczenia, najlepiej to wypływa z tego, że ogół o istnieniu jego dowiedział się dopiero teraz, gdy się o tem pisma wszystkie rozpisały, a przedtem to zapewne i ministrowie sami nie wiedzieli o nim, gdyż rola jego po za sprawami czysto formalnemi i specjalnemi jest żadna. Co innego zaś groziło nam, jak wiadomo, przy pożyczce obecnej.

Zabieranie przezemnie głosu w sprawie dewaluacji złotego przypisuje prof. Krzyżanowski upartej mojej chęci niedopuszczenia do przypieczętowania moich błędów. Jakże się myli on w zaślepieniu swoją pod moim adresem złośliwością. Jeżeli nie chcę, by złoty był stabilizowany prawnie po obecnym kursie, to nie może to być tłómaczone obawą moją przypieczętowania tego spadku, który przy mnie nastąpił, gdyż przy mnie złoty spadł tylko do 6,4 zł. za dolara. A więc jeżeli chcę, by kurs złotego stopniowo i powoli podnosić, to nie chcę, by rząd przypieczętowywał spadek, który

nastąpił za moich następców, by przypieczętowywał własną nieudolność w podnoszeniu kursu złotego pomimo znakomitej konjuktury ostatniego roku i nie chcę, by przypieczętowywał własną rezygnację.

Jakże małe zdradzają poloty własnego ducha ci ludzie, którzy w moich wystąpieniach publicystycznych koniecznie dopatrują się motywów osobistych: a to chęci przypominania o sobie, żalu, że to nie ja zaciągnąłem pożyczkę, a to, że nie chcę, by moje błędy były przypieczętowane. Takie mogą rzucać sądy ci tylko, którzy sami widać nie widzą innych motywów dla działań publicznych prócz osobistych. Cóż w tem dziwnego, że występuję w obronie pewnych tez i poglądów. Robię to, bo są mi one bliskie i drogie. Nie robię tego od wczoraj. Nie wyrosłem ani na karjerze urzędniczej, ani partyjnej. Publicystyka i nauka w sprawach ekonomicznych są to moje stare zajęcia zawodowe. Nieraz broniłem różnych tez dla wielu poważnych czynników niemiłych. W obronie zdań, które wygłaszałem narażałem się nieraz i to bardzo poważnie. Irytacja dzisiejsza i nawet naganka czynników potężnych w łonie dzisiejszego rządu nie może mnie przeto onieśmielić. Próżne są pod tym względem wysiłki tych, którzy kampanję przeciwko mnie prowadzą.

Zachęcony tonem napastliwym przeciwko mnie prasy rządowej dał prof. Krzyżanowski szczególny upust swojej namiętności w zwalczaniu mnie, która doprowadziła go do użycia w stosunku do mnie wprost ordynarnych wyrażeń. „Grabski nawarzył piwa“, miał „nóż na gardle“. Ale gdy niewybredność swojego poczucia przyzwoitości posuwa prof. Krzyżanowski do takiego stopnia, że pod moim adresem używa wyrażenia „udrapowany w togę patrjotyzmu, w której mu nie do twarzy“, ujawnia on swoją własną twarz wyzutą widocznie z wielkiego odczucia należnego patrjotyzmowi szacunku.

Co dało prof. Krzyżanowskiemu prawo do wyrokowania o tem, komu do twarzy może być toga patrjotyzmu? Gdzie są te długie lata pracy pełnej poświęcenia lub liczne akty odwagi w mierzeniu się z niebezpieczeństwami, któremi się patrjotyzm mierzy? Gdzież są te prześladowania wrogów obcych, które go dotykały? A jeżeli się dostało misję prowadzenia pertraktacyj, które w dodatku nie zupełnie się udały, nie dowodzi to kwalifikacyj do tego, by stać się augurem w sądzeniu o tem, komu jest do twarzy w todze patrjotyzmu, a komu nie.

W sprawie pożyczki zagranicznej nastąpił w atakowaniu mnie sojusz prasy rządowej i „Czasu“ krakowskiego. „Czas“, poirytowany mojemi krytykami zapowiedział, że w odwet za moje wystąpienia w sprawie pożyczki nie będzie już nigdy więcej bronił mnie przed jakiemikolwiek, choćby najgorszemi, napaściami. Co prawda więcej było dotychczas i to od dość dawna w „Czasie“ głosów, poświęconych krytykowaniu mnie, niż mojej obronie, więc na tej zapowiedzi zapewne wiele nie stracę. A co do tego, czy miałem prawo potępiać proponowane przez „Czas“ konieczności przyjęcia kontroli zagranicznej—najlepiej o tem można sobie wyrobić zdanie, zapoznawszy się z cytatami z numerów „Czasu“ z dnia 8 i 9 kwietnia, które zawierają ustępy wprost rewelacyjne i zasługują, by zostały dłużej w pamięci ludzkiej. Oto co w nich znajdujemy: „Czas“ z dn. 8/IV pisał:

„Kapitał amerykański zażądał, aby przedstawiciele jego mieli wejść do rady nadzorczej Banku Polskiego, by mieć w ten sposób nadzór nie tylko nad sposobem użycia pożyczki, ale także nad całą polityką kredytową Banku. Warunek ten był naturalny, rozumiejący się sam przez się; delegaci nasi z góry się go spodziewali; rząd, wysyłając ich, zapewne był przygotowany na jego postawienie i przyjęcie“.

Dalej wyraża „Czas“ wielki żal, że warunki powyższe nie zostały zaakceptowane. Przyczem pisze, że opozycja przeciwko temu znalazła „poparcie zarówno w rządzie, jak i u osobistości, stojącej na czele państwa“. Oburza się „Czas“ na to i twierdzi, że:

„jest więcej, niż wątpliwem, by grupa Morgana, udzielająca Bankowi tak ogromnego kredytu— i to na warunkach nie lichwiarskich — odstąpiła od swego żądania co do wglądu w całą politykę i gestję Banku“.

Dalej pisze:

„Wedle wiadomości, jakiemi rozporządzamy, *głównym przeciwnikiem pożyczki amerykańskiej okazał się prezydent Mościcki,* wyrażający zdanie, iż możemy czekać, póki nie uzyskamy pożyczki *bez żadnej kontroli polityki kredytowej Banku*“.

W korespondencji z Warszawy z dnia 7 kwietnia w „Czasie“ czytamy: „Kontrola ma polegać na wprowadzeniu do Rady nadzorczej Banku Polskiego czterech przedstawicieli, którzyby mieli *również wgląd w dział budżetu,* odnoszący się do wpływów podatkowych“.

Dnia 9 kwietnia pisał „Czas“:

‚Należy podkreślić, że ów *plan rzekomo amerykański* jest rezultatem rokowań naszych delegatów, prowadzonych na podstawie *instrukcyj, jakie przed wyjazdem otrzymali oni od rządu polskiego*“.

Cytaty powyższe wykazują niezbicie:

1) że „Czas“ bronił, obecnie tak samo, jak rok temu, gdy również z nim już na ten temat polemizowałem, tezy, by przy pożyczce wierzyciele mieli szerokie prawo kontroli nad Polską, gdyż tyczące się kontroli polityki kredytowej Banku Polskiego oraz części budżetu i wyraża żal i oburzenie, że kontrola taka spotkała się z krytyką;

2) „Czas“ twierdzi jakoby rząd upoważnił delegatów do zgodzenia się na takie szerokie warunki kontroli, które następnie musiały być i zostały przez rząd odrzucone;

3) że „Czas“ wprowadził w grę osobę Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, wymieniając Go wprost i krytykując jego stanowisko opozycyjne wobec warunków szerokiej kontroli;

4) że „Czas“ wykazał szczególną znajomość warunków pożyczki, znajomość instrukcyj, udzielonych delegatom rządowym, narad rządowych i stanowiska, zajętego przez Pana Prezydenta.

Wszystko wyraźnie dowodzi, że „Czas“ nie mógł być informowany przez byle kogo. Przypuszczenie moje, że prof. Krzyżanowski był tym in-

formatorem, ma za sobą dużo cech prawdopodobieństwa. Któż ośmieliłby się bowiem bronić warunków propozycyj pierwotnych, odrzucanych następnie przez rząd, któż ośmieliłby się wypominać rządowi, że to on wiedział, iż będą ciężkie warunki postawione, że upoważnił do ich przyjęcia, a teraz gotów jest wyprzeć się tego, któż ośmieliłby się napaść na stanowisko zajęte przez Pana Prezydenta w tej sprawie, jak nie ktoś, kto musiał żywo odczuć boleść tego delegata, który właśnie był winnym, że warunki, ułożone w Ameryce, okazały się następnie nie do przyjęcia.

Jeżeli prof. Krzyżanowski żąda odemnie dowodu, że to on inspirował „Czas", to żądanie takie muszę uważać wprost za cynizm z jego strony. Nie ja potrzebuję udowadniać, że to prof. Krzyżanowski dał podstawę do napisania artykułu w jego obronie, posuniętą tak daleko, że ośmielającą się krytykować stanowisko Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, a „Czas" powinien udowodnić, kto go do tego natchnął. Wprost wydaje się rzeczą nie pojętą, że rząd nie zareagował na tę niesłychaną napaść „Czasu" na stanowisko w sprawie pożyczki Pana Prezydenta i nie zareagował na posądzenie rządu, że on istotnie upoważnił delegatów do zgodzenia się na warunki, które musiał następnie odrzucić. Gdyby to było prawdą, co „Czas" pisze, to ktoś przecież powinien był odpowiadać za to, że wyraził zgodę na coś, co okazało się ze stanowiska wyższych interesów państwowych, na straży których stoi osoba Prezydenta Rzeczypospolitej, niedopuszczalnem. Ponieważ dotychczas nie widać, by ktokolwiek przyjął na siebie taką odpowiedzialność i wyciągnął konsekwencje ze swego błędu, więc należy uznać, że twierdzenie „Czasu", jakoby „plan amerykański" z „kontrolą polityki kredytowej Banku" i „wglądem w dział budżetu" był „rezultatem rokowań, prowadzonych na podstawie instrukcyj, jakie przed wyjazdem otrzymali delegaci od rządu polskiego", że takie twierdzenie jest ciężką obelgą pod adresem rządu, i dziwić się należy jego wyrozumiałości, iż obelgę taką zniósł bez najmniejszego zareagowania.

A niemniej dla sanacji naszego życia politycznego jest rzeczą konieczną, by wyświetlić to wszystko, o czem pisał „Czas" w dniach 8 i 9 kwietnia. Przemilczeniem tego się nie przekreśli. Wiadomo: scripta manent. Napadaniem na mnie nie można nakazać zapomnienia o tem, że były ustalone warunki pożyczki tak niedopuszczalne, że potrzeba było, jak pisze „Czas", aż oparcia sprawy o Prezydenta Rzeczypospolitej, by zostały one odrzucone.

A z chwilą, gdy ja rozpocząłem kampanję, żeby uzasadnić niedopuszczalność tych warunków, to dostało się mnie za to od prasy rządowej, a od „Czasu" dostało się i mnie i Panu Prezydentowi, jednocześnie. Wprost nie chce się wierzyć, w jakich czasach żyjemy i do jakich granic może dojść cynizm ludzki.

Wobec powyższego bledną inne zmyślenia, które pomieścił „Czas" za podpisem prof. Krzyżanowskiego pod moim bezpośrednio adresem. Wymyślił on najpierw oświadczenie Dillona w sprawie traktatu z Niemcami, którego nie było, a wymyślił na tej zasadzie, że zaznaczyłem, iż wojna celna, wydana nam przez Niemcy, utrudniła Dillonowi wzięcie latem 1925 r. drugiej transzy pożyczki. Na tej zasadzie utworzył prof. Krzyżanowski wersję, jakoby Dillon nalegał na nas, byśmy zawierali traktat z Niemcami. Operując takim swoim własnym falsyfikatem stawia następnie p. Krzyżanowsk dylemat „albo p. Grabski oświadczenia Dillona rzucił do kosza", co uważa on za nieprawdopodobne, gdyż zauważa, że jednak „Grabski nie chwaii się swoim heroizmem", albo „pobiegł do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, żądając ustępstw na rzecz Niemiec".

Jakże śmiesznym jest ten pan Krzyżanowski, tak widocznie przyzwyczajony do biegania, że nie wie, iż jako Premjer nie udawałem się do ministrów, tylko ich wzywałem do siebie. A jakże małą jest skala jego duchowości, skoro sądzi, że stać twardo na swojem stanowisku i nie ustępować jest to heroizm, którym się trzeba chwalić. Jest to tylko obowiązek, który trzeba chcieć i umieć spełniać. W sprawie wojny celnej z Niemcami nie ja byłem czynnikiem, któryby się jej lękał i insynuacje p. Krzyżanowskiego pod moim adresem w tej sprawie są wprost bezczelne.

Ale widocznie bezczelność jest zaraźliwa, gdyż jedno pismo, zwykle rząd popierające, zrobiło aluzję do mojej jakoby przyjaźni dla Dillona. Niedługo gotowi są ogłosić Dillona za Grabszczyka. Zapewne po zawarciu obecnej pożyczki, do której wchodzi nie jeden a większa liczba bankierów, przybędzie znaczna liczba osób po świecie z tytułem przyjaciół polskich Ministrów Skarbu i Wicepremjerów.

Czy zwalczanie mnie nie drogą poważnej krytyki, a metodami takiemi, jakie wykazałem, może być dobrem dla Polski i może okazać się istotnie dla rządu obecnego pożytecznem? Wydaje się to wątpliwem. Gdyż takie namiętne zwalczanie uniemożliwia wykorzystanie należyte i bezstronne doświadczenia, jakiemi rządy moje służyły.

To, że rządy moje miały swoje ujemne strony i właściwości, to jasne. Wszak były to rządy ludzkie. Że najgorszym faktem, jaki okazał się w końcowej ich fazie, był spadek złotego, to nie ulega wątpliwości. Ale czego ten fakt był skutkiem, sprawa to wcale nie wyjaśniona. Prof. Krzyżanowski upraszcza sobie całe rozumowanie i przeciwstawia moim rządom, w których deficyty budżetowe pokrywane były biletami i bilonem rządom obecnym, w których się to nie robi i myśli, że takie przeciwstawienie wystarcza do zatryumfowania, że moje rządy musiały do spadku złotego doprowadzić, a rządy obecne tego się obawiać nie potrzebują. Takie stawianie sprawy nie pomoże sytuacji Polski, gdy nastąpi nieurodzaj, nie zapełni zapasów Banku Polskiego, które już stanęły na martwym punkcie, nie poprawi bilansu handlowego, który już przestał być aktywnym. Że te ujemne rysy się już potworzyły, stało się tak skutkiem tego, że nie chciano korzystać z doświadczenia moich rządów, nie chciano zagłębić się w rozumienie skomplikowanych przyczyn spadku złotego i poprzestano na sformułowaniu jednego tylko zarzutu o nadmiernej emisji bilonu i biletów, jako głównej różnicy rządów poprzednich i obecnych.

Takie upraszczanie sprawy mści się dzisiaj na tych, którzy ponosić będą skutki swego krótkowidztwa, wypływającego z nadmiernej tendencji do przechwalania siebie, a pomniejszania innych.

Niewątpliwie, że wyrzeczenie się dalszej emisji bilonu i biletów przez ostatni rząd, jest wysoce dodatnim faktem i że zrównoważenie budżetu bez uciekania się do tej emisji jest wysoce pocieszającem. Ale przecież był to najwyższy czas po temu. W planie sanacji skarbowej, który przedłożyłem Sejmowi w 1923 roku, wyznaczyłem, że dochody zwyczajne nie będą w stanie pokryć wydatków zwyczajnych i nadzwyczajnych w ciągu lat trzech; że dopiero w roku czwartym nastąpić może zupełna równowaga budżetowa bez uciekania się do dochodów nadzwyczajnych. Przewidywania moje ówczesne ziściły się jak widzimy najzupełniej.

W budżecie na 1924 r. oraz w planie przeprowadzenia reformy walutowej przewidywany był dopływ środków z bilonu i biletów na nadzwyczajne potrzeby budżetowe w latach 1924, 25 i 26. Tak się też i stało. Nie było to wcale prowadzeniem gospodarki deficytowej. Według mego planu z 1924 r., w roku 1927 o żadnym dalszym emitowaniu bilonu i biletów nie mogło już być mowy. To, że dziś budżet jest zrównoważony bez dochodów nadzwyczajnych i że emisja bilonu i biletów jest wstrzymana, jest to w zupełnej zgodzie z mojemi planami z 1923 i 24 roku.

Czemu bilon miał swoje przeznaczone miejsce w budżetach poprzednich, a nie powinien go mieć więcej obecnie? Bo bez bilonu i biletów zdawkowych obejść się nie można, bo reforma walutowa musiała je wprowadzić w życie, bo budżety pierwszych lat po reformie wymagały tego środka nadzwyczajnego dochodów, ale budżety następne musiały poprzestać na innych dochodach, które w ciągu swych pierwszych lat powinny były tak być rozbudowane, by okazały sie zadawalającemi. Można się spierać o to, czy nie za dużo wypuściliśmy tych środków. Prof. Krzyżanowski uważa, że 120 miljonów to już było za dużo, prof. Taylor mówi o 200 miljonach, jako normie, Sejm i rząd ówczesny ustalili normę 12 zł. na głowę ludności, a więc około 360 miljonów, później ta norma została powiększona do 410 miljonów, ewentualnie do 460 m. zł. Rząd mój normę 360 nieco przekroczył, ale miało to miejsce znacznie później, niż spadek złotego nastąpił. Rządy, które po mnie nastały, przekroczyły normę 410 miljonów. Rząd obecny na jesieni zdecydował się wrócić do normy 360 miljonów, którą i ja uważałem za najwłaściwszą i uznawałem dopuszczalność jej przekroczenia tylko pod kątem widzenia środków chwilowych dla łagodzenia kryzysu gospodarczego i runu bankowgo.

Różne mogą być poglądy na to, jaka powinna być norma maksymalna emisji bilonu i biletów zdawkowych. Ale, że są one konieczne, więc właśnie należało je wprowadzić do obiegu w pierwszych latach po reformie i należało pokrywać niemi nadzwyczajne wydatki owych czasów, była to bowiem główna rezerwa, której koniecznie potrzebowaliśmy.

Dla czego jednak w pierwszych latach po reformie trzeba było sięgać do takiego środka nadzwyczajnego, a obecnie ma on być już zupełnie zbytecznym. Jest to rzeczą bardzo naturalną. W pierwszych latach mieliśmy sporo wydatków nadzwyczajnych, a dochody nasze nie były wcale rozbudowane. Monopol tytoniowy dopiero co był wprowadzony, spirytusowy jeszcze nie był uchwalony, a to są potężne dźwignie naszych dochodów. Za mnie monopole te były organizowane tak, by co rok dawać mogły coraz większe dochody. Z góry było to przemnie przewidziane, że w 1927 roku źródła te doprowadzone zostają do normalnej i pełnej wydajności. O tem dokładnie zawsze Sejm i opinję informowałem.

Na pokrycie nie wystarczającej wydajności dochodów zwyczajnych w latach 1924 — 25 i 26, póki monopole nie będą rozbudowane, przeznaczone były z góry dwa źródła: podatek majątkowy oraz bilon i bilety. Tych ostatnich wypuszczono za dużo, gdyż podatek majątkowy wpłynął w ilości niewystarczającej. Ale w 1927 roku już było rzeczą wiadomą, że dochody zwyczajne powinny były starczyć dla zrównoważenia całego budżetu zwyczajnego i nadzwyczajnego i dalsze emitowanie bilonu czy biletów dzisiaj byłoby niczem nie usprawiedliwione.. Dziś nadmierna ilość biletów powinna być wycofywana z obiegu w miarę ściągania zaległości podatku majątkowego, niedopłaconych w latach poprzednich. Dla wycofania nadmiaru biletów z obiegu nie potrzeba pożyczki zagranicznej, wystarczy doprowadzić do uregulowania dawnych zaległości. Rząd obecny ma złych obrońców i doradców finansowych, gdyż wolą mu schlebiać, a to nie daje nigdy dobrych wyników. Dziś przed rządem stoją większe trudności, niż pół roku temu.

Gdy prof. Krzyżanowski ironizuje, że ja zawierałem pożyczki, gdy miałem nóż na gardle, a rząd obecny przystępuje do zawierania jej, gdy wszystko jest jak najlepiej, nie był świadom tego, jak fatalnie trafił, robiąc powyższe porównanie. Gdy przystępowałem do pożyczki Dillona był to koniec grudnia 1924 i początek stycznia 1925 r.; mieliśmy wówczas w Banku Polskim 269 milj. zł. walut obcych, a razem ze złotem 372 miljony złotych trwałego pokrycia i mieliśmy już po za sobą pół roku wyjątkowego nieurodzaju. Mieliśmy tak samo, jak dziś 25 miljonów spłaconego kredytu rządowego w Banku Polskim, co podkreśla prof. Krzyżanowski jako wielki sukces czasów obecnych. Ale gdy rząd obecny przystępował do rokowań o pożyczkę, walut w Banku Polskim było 220 miljonów, a łącznie ze złotem 369,2 milj., a więc mniej, niż wtedy, gdy ja do rokowań przystępowałem i to pomimo, że rząd ma po za sobą nie pół roku nieurodzaju, tylko pół roku nadzwyczajnie korzystnej konjuktury węglowej, a urodzaj zły dopiero się zapowiada. Po cóż więc było mówić prof. Krzyżanowskiemu o nożu na gardle. Takie wyrażenie się nic a nic nie pomoże na zakrywanie rzeczywistości.

Swoim na mnie napaściom nadał prof. Krzyżanowski tytuł: Dwa programy. Ale programów ani nie rozwinął, ani nie pogłębił, tylko skorzystał z tytułu, by trochę schlebiać rządowi, a przeważnie napadać na mnie. A tymczasem istotnie są dwa programy finansowe dla Polski. Ale polegają one nie na tem, że w jednym był emitowany bilon,

a w drugim nie, do czego redukuje się analiza prof. Krzyżanowskiego, bo emisja bilonu to nie program, a tylko fakt, towarzyszący z konieczności okresowi wprowadzenia nowej waluty i fakt, który w trzy lata po takiem wprowadzeniu oczywiście, że nie mógł być kontynuowany. Ale jeżeli idzie o przeciwstawienie programowe, to można wiedzieć, że to, czego broni prof. Krzyżanowski, jest to program, który zadawala się chwilowemi oznakami pomyślnego układu stosunków, wyrzeka się wszelkiej własnej myśli i dążeń państwowych, opartych o własne siły i liczy tylko na pomoc kapitału zagranicznego i na dobre rady tych, którzy łącznie z tą pomocą finansową narzucać się będą ze swojemi radami.

Takiemu programowi przeciwstawić trzeba program, który nie zrażając się przeciwnościami stawia naczelne zadania naszej mocy państwowej, opierając się na własnych siłach, pragnie wykorzystać doświadczenie przeżytych kryzysów nie dla wypierania się własnych celów, a dla skorygowania środków do nich wiodących, który obcej pomocy finansowej nie odrzuca, ale jej nie wysuwa na czoło i przez to uniemożliwia wpływom obcym uzyskanie roli czynnika, mogącego zaciążyć na naszych losach.

W imię tego właśnie programu występuję, nie dla tego, bym chciał narzucać swoją osobę, ale dla tego, że w program ten wierzę. Gdyby szło o narzucanie się ze swoją osobą, to najbardziej celowem byłoby z mej strony o programach nie mówić wcale.

Wielką krzywdę wyrządzają Polsce ci, którzy na mnie za głoszenie tego programu kamienie rzucają. W program mój wolno nie wierzyć, wolno go krytykować. Ale chcieć go utrącać i dyskredytować jest to torować drogę dla rezygnacji. Gdy to robi „Czas“ i prof. Krzyżanowski, jest dla mnie zrozumiałe. Ale gdy to samo robi część prasy popierającej rząd nie z pobudek oportunistycznych, jest to objaw małoduszności pewnych ludzi, którzy służą za narzędzie ambicyj osobistych, nie oglądając się na skutki swoich wystąpień.

Jeszcze nie było przykładu w dziejach ludzkości, by płytki oportunizm wystarczał dla narodu, który chce żyć pomimo trudnych warunków, w jakich się znajduje. Gdy konjunktury są przyjazne, oportunizm jest w swoim żywiole. Ale gdy nastają chwile trudne, na nim nic budować nie można.

Rząd obecny winien być świadom tego, że takich trudnych chwil los Polsce jeszcze nieraz nie zaoszczędzi i mogą one być bliższemi, niż się niejednemu wydaje. Dla tego też nie powinny go wytrącać z równowagi przestrogi, które idą pod jego adresem.

Widocznem jest przecież, że się one przydały: warunki pożyczki zostały zmienione. Więc co znaczy kampanja, która jasno dąży do tego, by więcej przestróg nie otrzymywać? Dowodzi zaślepienia. A to Polsce na pewno nie pomoże.

Władysław Grabski

ZAWIERUCHA NA WSCHODZIE A PROBLEM SOLIDARNOŚCI EUROPY

Gdy 21 marca b. r. wojska nacjonalistycznego rządu kantońskiego, sprzymierzonego z moskiewskim kominternem, wkroczyły zwycięsko do Szanghaju i zajęły następnie Nankin, zdawać się mogło, że dni popieranego przez Japonję i sympatyzującego z mocarstwami zachodu dyktatora Chin Północnych marszałka Czang-Tso-Lina są policzone, oraz że wskutek tego Europa znajduje się w przededniu groźnego sojuszu państwa Sowietów z pałającemi nienawiścią do rasy białej trzystomiljonowemi Chinami, wyzwolonemi z pod jej supremacji gospodarczej, zagwarantowanej koncesjami, przy pomocy oręża i złota czerwonej Moskwy. Wiadomości o marszu nacjonalistów na Pekin po sforsowaniu Jang-Tse-Kiangu brzmiały aż nader alarmująco. Lecz na szczęście Europa ocknęła się wreszcie ze swej obojętności wobec wydarzeń na Dalekim Wschodzie, powodowanej przeważnie oportunizmem i ignorancją faktycznej sytuacji. Zwłaszcza krwawa rzeź cudzoziemców w Nankinie, połączona z ograbieniem konsulatów zmusiła wprost mocarstwa zachodu i Japonję do interwencji, która rozpoczęła się bombardowaniem Nankinu i zorganizowaniem wojskowej obrony europejskiej dzielnicy Szanghaju wspólnemi siłami morskiemi i lądowemi, a ukoronowana została po długich wzajemnych pertraktacjach przesłaniem wspólnej noty rządowi kantońskiemu w dn. 11 kwietnia przez rządy W. Brytanji, Francji, Włoch, Japonji i St. Zjednoczonych. Skutki stanowczości mocarstw nie dały długo na siebie czekać. Przedewszystkiem dzięki umiejętnej grze dyplomacji brytyjskiej, oceniającej należycie znaczenie silnej waluty dla orjentacji politycznej generałów chińskich, stale przekładających zdradę i przekupstwo nad uczciwą walkę rycerską, doszło nieoczekiwanie, za jednym zamachem do zupełnego rozłamu w Kuomintangu, centralnej organizacji, kierującej ruchem wyzwoleńczym Chin nacjonalistycznych. Naczelny dowódca ich wojsk i zdobywca Szanghaju, generał Czang-Kai-Szek, potulny dotychczas rublom sowieckim, jeszcze przed wręczeniem wspomnianej noty mocarstw, wszedłszy w porozumienie z bogatymi kupcami Szanghaju, obawiającymi się socjalizacji i otrzymawszy kilkanaście miljonów dolarów, zebrane przy pomocy europejczyków, przeistoczył się w zaciętego wroga komunizmu. Daremnie rząd kantoński pozbawił go dowództwa. Zrewoltowany generał, po stronie którego opowiedziała się ogromna większość generałów nacjonalistycznych i gubernatorów południa w strachu przed rewolucją społeczną i strejkami oraz przed perspektywą zniszczenia bogatych centrów handlowych i portowych, w oka mgnieniu nieomal

opanował Szanghaj, Nankin i Kanton, rozstrzeliwując i aresztując dziesiątki tysięcy zwolenników komunizmu.

Pozostałe w Szanghaju po rozgromieniu armji północnej białe oddziały rosyjskie nietylko nie zostały rozbrojone lecz nawet użyte do zajęcia sowieckiego konsulatu generalnego i internowania jego członków. Rząd probolszewicki Południa schronić się musiał do Hankou, z resztkami wojsk, zaprzestając oczywiście rozpoczętej ofenzywy przeciwko wojskom Północy i opierając się nadal li tylko o lewicę Kuomintangu, mającej przeciwko sobie zwartą postawę nacjonalistycznego mieszczaństwa, któremu dawno już obrzydła opieka czerwonej Moskwy.

Równocześnie nieomal energiczny dyktator północny Czang - Tso - Lin, nie dając się zastraszyć ani zwycięstwom Południa ani groźbom Moskwy, zdobył się na krok, niebywały wprost w swojej śmiałości oraz w dziejach stosunków dyplomatycznych. Otoczywszy kordonem wojsk ambasadę sowiecką kazał on zrewidować wszystkie najtajniejsze nawet jej dokumenty i zdobył tą drogą nieocenione wprost dowody wiarołomstwa i perfidji Sowietów. Stosowały one dotychczas na terenie chińskim bardzo zręczną i oględną taktykę. Nie kryjąc się z swojemi sympatjami dla Kuomintangu nie występowały one jednak oficjalnie, wyręczając się Kominternem. Instytucja ta niezupełnie oficjalna, kierowana jest coprawda przez władców Kremlu w każdym szczególe, nie biorą oni jednak na siebie nigdy odpowiedzialności za jej działalność, ani w Chinach, ani w Anglji i w innych państwach, przedstawiając ją jako organ wykonawczy trzeciej międzynarodówki. Wszechpotężny w Kantonie żyd Borodin-Gruzenberg i jego wspólnicy, przedstawiani byli jako agenci Kominternu. Pieniądze i broń wysyłał nacjonalistom chińskim rzekomo Komintern. Nawet czerwoni oficerowie czynnej służby, masowo organizujący armję Kuomintangu, nie mają stosownie do oświadczenia rządu moskiewskiego nic z nim mieć wspólnego. Taktyka ta stawiała w kłopotliwem położeniu nietylko mocarstwa, które nie dysponują tak wygodnemi instytucjami, ale i Czang - Tso - Lina. Musiał on bowiem tolerować istnienie w Pekinie przedstawicielstwa dyplomatycznego państwa, które nieoficjalnie lecz faktycznie znajdowało się z nim na stopie wojennej. Zrywając z tą ohydą uczynił niewątpliwie dobrze, zadając ogromny cios moralny prestig'owi Sowietów. Znalezione bowiem dokumenty, ogłoszone niezwłocznie, dowiodły niezbicie, że Sowiety planowo i konsekwentnie organizowały i finansowały ruch nacjonalistyczny w Chinach w celu pozyskania w nich wiernego sprzymierzeńca. Była to gra obliczona na długie lata. Nie chodziło bolszewikom w gruncie rzeczy o formę rządów w Chinach. Dygnitarzom sowieckim przeświecała wielka myśl stworzenia olbrzymiej potęgi eurazyjskiej, uzmysławiającej dla Chrześcijaństwa i kultury Zachodu koszmar czerwono - żółtego niebezpieczeństwa, gotowego w każdej chwili zamienić się w potop. Tą drogą chciała czerwona Moskwa odrobić klęskę, jaką poniosła jej ofenzywa militarna i propagandystyczna, dążąca do zrewolucjonizowania państw Europy, odparta na szczęście zwycięsko po wspaniałym tryufmie orężnym broniącej Zachodu Polski kolejno w Węgrzech i Włoszech, na Bałkanach, w Anglji i Francji. Przedewszystkiem rewizja pekińska zdemaskowała nacjonalistycznego ministra spr. zagranicznych Chin Południowych Czena jako płatnego agenta Sowietów.

Dzielny marszałek Czang zdawał sobie oczywiścei sprawę z możliwości otwartej wojny z Sowietami, wymierzając im tak publicznie policzek. Ufając jednak w pomoc Japonji i w słabość Moskwy nie przeraził się grożących następstw swego śmiałego kroku. I nie zawiódł się; Moskwa, przeżarta zgnilizną komunizmu, nie zdolna do wojny, zwłaszcza na taką odległość i pełna strachu przed własną armją, stale posądzaną w Kremlu o kontrrewolucyjne zachcianki, schowała policzek do kieszeni. „W interesie Chin i robotników wszystkich krajów" rząd sowiecki oświadczył w swojej nocie protestacyjnej, że „nie da się sprowokować i stanie po stronie pokoju". Olbrzymi bluff dyplomacji sowieckiej, tak zręcznie dotychczas maskującej wewnętrzną słabość czerwonej komuny, ujawnił się w całej swojej zawstydzającej nagości. Wobec tego pogwałcenie ambasady skończyło się najspokojniej zerwaniem poprostu stosunków dyplomatycznych pomiędzy Pekinem a Moskwą. Czang-Tso-Lin tymczasem sprzymierzony ponownie z swoim dawnym rywalem Wu - Pei - Fu przeszedł do zdecydowanej kontrofenzywy przeciwko wojskom południa, zadając im szereg klęsk, odrzucając je z powrotem za Jang - Tsu - Kiang i szykując się do ponownego usadowienia się na południu tej olbrzymiej zapory wodnej, dzielącej Chiny naturalnie na dwie połowy.

Rząd radykalny w Hankou nie dał jednak jeszcze za wygraną. Na zbiorową notę ultymatywną pięciu mocarstw, domagających się zadośćuczynienia za rzeź i grabież w Nankinie, przebiegły Czen odpowiedział pięcioma oddzielnemi notami, starając się odmiennem zgoła potraktowaniem pretensyj poszczególnych mocarstw wznowić ich rozdźwięk, na długoletniej rywalizacji oparty. Taktyka okazała się bardzo zręczną. Pajęczynowy gmach solidarności, zbudowany pod naglącym naciskiem prowokacyj nankińskich, nie wytrzymał próby życiowej. Wszak jedna, jedyna Anglja, najbardziej oczywiście w chińskich koncesjach europejskich od samego początku zainteresowana oceniła należycie znaczenie wojny domowej w Chinach dla Europy. Francja natomiast, pogrążona całkowicie w problematach wewnętrznych, pracując usilnie i z powodzeniem coraz widoczniejszem nad sanacją gospodarczą, a oddająca się niestety wciąż jeszcze mglistym i mrzonkowym iluzjom możliwości dojścia do porozumienia z Sowietami, szantażującymi bezczelnie francuskich wierzycieli Rosji różowemi horoskopami gwoli zyskania na czasie, chętnie skorzystała z okazji, by się ponownie wycofać z ingerencji w sprawy chińskie, ograniczając się do niezbędnych zarządzeń dla obrony mienia swych obywateli w tamtejszych koncesjach francuskich. Stany Zjednoczone, wrogie zasadniczo wszelkiej polityce interwencyjnej, również zadowoliły się na razie wymijającą notą Czena, zwłaszcza, że również neutralistyczna raczej i niezdecydowana postawa rządu japońskiego, nawpół po-

pierającego Czang-Tso-Lina i nawpół życzliwego antyeuropejskiej akcji nacjonalistów, kierowanego przez liberalnego p. Wakatsuki, zdawała się uspokajać amerykańskie obawy przed możliwością usadowienia się Japonji w Mandżurji i Władywostoku.

Na szczęście jednak Anglja, której moralna raczej pomoc samych Włoch nie mogłaby w takich warunkach wystarczać, nie pozostała odosobniona w swojej rozumnej polityce chińskiej. Energja, z jaką zdobył się jej rząd konserwatywny w przeciwieństwie do fatalnych błędów Loyd George'a, pomimo tylu trudności zewnętrznych i wewnętrznych na wysłanie do Szanghaju silnego korpusu ekspedycyjnego przy równoczesnych deklaracjach pełnych daleko idącej ugodowości wobec słusznych i usprawiedliwionych roszczeń wyzwoleńczych Chin nie poszła na marne. W drugiej połowie kwietnia doszło do zmiany rządu w Japonji, dzięki której rządy dostały się w ręce energicznego, konsekwentnego generała barona Tanaka, zdecydowanego niedopuścić za wszelką cenę do usadowienia się Bolszewji w Chinach. Pamiętne słowa Czang - Tso - Lina — wypowiedziane wobec słynnego francuskiego dziennikarza Sauerweina, że należy wyrzucić bolszewików, ponieważ „ci nieprzyjaciele ludzkości, intryganci i najpodlejsi w świecie spiskowcy chcą posiać niezgodę w Azji, ponieważ nie udało się im to w Europie", znalazły w nowym premjerze japońskim gorącego wielbiciela i poplecznika. Na tem tle doszło też niezwłocznie do wyraźnego zbliżenia japońsko-angielskiego. Anglja, jak wiadomo, propaguje oddawna hasło solidarności Europy w obronie jej kultury i cywilizacji przed komuną Sowiecką. Jeden z największych publicystów angielskich wypowiedział niedawno pogląd, że to, co się dzieje w Chinach, jest tylko jednym incydentem w wojnie, wypowiedzianej przez Moskwę głównie W. Brytanji ale także Europie, jako całości. Za granicą wschodnią Polska zaczyna się kraj obcy i wrogi, szykujący jawnie zagładę ideałom i zdobyczom kulturalnym rasy białej, urągający szyderczo mrzonkom liberalnych pacyfistów o możliwości kompromisów. Sir Austen Chamberlain waha się jednak jeszcze przed zerwaniem w interesie innych państw Europy, mogących być narażonemi na niebezpieczeństwo i trudności. Na froncie europejskim największą przeszkodą dla Anglji jest oczywiście postawa rządu niemieckiego, popierającego swoją dwulicową politykę rząd Sowietów, pomijając już znaną sprawę dostarczania Rosji i Chinom olbrzymich ilości materjału wojennego. Natomiast na Dalekim Wschodzie porozumienie japońsko-angielskie szybko zostało osiągnięte, rokując nawet możliwość wznowienia wypowiedzianego w 1922 r. przez Japonję sojuszu obu państw. W rezultacie okręty wojenne japońskie blokują Hankou, angielskie zaś Kin - Kiang, Nankin, Czinkiang i Wuhu, patrolując równocześnie pomiędzy Nankinem a Szanghajem. Nie jest nawet wykluczonem wysłanie wojsk japońskich do Mandżurji celem odciążenia z tej strony marszałka Czang-Tso - Lina, zmuszonego tam wciąż jeszcze do tolerowania nawpółbolszewickiego zarządu kolei (na podstawie starej koncesji carskiej), i umożliwienia mu użycia pełni sił do walki z rządem południowym.

Decyzja nowego rządu japońskiego położenia kresu wojnie domowej w Chinach, powodzenia Czang - Tso - Lina ogniem i mieczem, tysiącami egzekucyj i aresztów wytępiającego bolszewizm na obszarze zajętym przez wojska północne oraz zwrot w polityce Czang-Kai-Szeka, który utworzył w Nankinie nowy rząd, nacjonalistyczny, antybolszewicki, a więc trzeci z rzędu rząd chiński, wzmocniły z natury rzeczy ogromnie pozycję Anglji w Chinach. Stara się ona oczywiście o doprowadzenie do porozumienia pomiędzy Czang - Tso-Linem a Czang - Kai - Szekiem dla wspólnej walki przeciwko żółto - czerwonej komunie, poparta w tym względzie przez wszystkie sfery handlowe b. cesarstwa środka. Dziwnym trafem tak logiczne, zdawałoby się, rozwiązanie sytuacji, natrafia na ogromne trudności. W Chinach widocznie istnieje tylko logika dolarów. Dyktator Szanghaju nie widzi widocznie dla siebie dostatecznych korzyści materjalnych w połączeniu się z dyktatorem pekińskim i dlatego zachowuje wolną rękę, to znaczy walczy jednocześnie na dwa fronty, drapując się w togę jedynego, prawdziwego i bezinteresownego obrońcę ideałów chińskich. Czyni to nawet z dużem powodzeniem. Liczne rzesze studentów chińskich, studjujących na europejskich i amerykańskich uniwersytetach, usposobione nawskroś nacjonalistycznie, opowiedziały się w swojej większości manifestacyjnie na rzecz Czang-Kai-Szeka. Nie uczynili tego, rzecz prosta, studenci chińscy w Moskwie, gdzie nawet rodzony syn szanghajskiego dyktatora pompatycznie wyrzekł się własnego ojca. Pozycja jego zresztą nawet w Szanghaju nie jest zbyt ustabilizowana, pamiętać bowiem należy, że władcy tego miasta zmieniali się dotychczas jak w kalejdoskopie, ponieważ bogactwa jego przedstawiają podnietę zbyt nęcącą dla awanturników wszelkiego autoramentu, z których moc już zdołała się schronić zawczasu wraz z „oszczędnościami" do Japonji. Ostatnio doszło nawet do znamiennych starć pomiędzy Anglją a Czang - Kai - Szekiem tak w Nankinie, jak i w Szanghaju, mało dobrego wróżących dla przyszłości. Niemniej zakulisowe rokowania o ugodę Pekinu z Szanghajem pod auspicjami mocarstw zainteresowanych trwają. Natomiast próba Sowietów podtrzymania słabnącego oporu coraz bardziej tak od północy jak i ze strony władcy Szanghaju szachowanego i beznadziejnie nieomal zagrożonego rządu w Hankou przez dywersję od strony Mongolji przy pomocy starego partyzanta promoskiewskiego gen. Fenga nie powiodła się ze względu na nieudolność i słabość, a podobno nawet chwiejność tego ostatniego. Anglja zaś szykuje się do odebrania siłą utraconej swego czasu koncesji w Hankou.

Sytuacja w Chinach jeszcze bynamjniej się nie wyjaśniła. Jedno jest jednak pewnem: Polityka Moskwy, zmierzająca do uczynienia z tego trzystumiljonowego mocarstwa narzędzia swoich światoburczych planów, carstwa narzędzia swoich światoburczych planów, zawiodła na szczęście dla Chrześcijaństwa, Europy i rasy białej wogóle. Najsłabszym, i o ile wszel-

kie oznaki nie mylą, skazanym na najszybszą zagładę ośrodkiem, jest tam właśnie probolszewicki rząd w Hankou, subsydjowany przez Moskwę, najsilniejszym zaś jest rząd pekiński, popierany przez Japonję, dzierżącą w swojem ręku klucz do rozwiązania krzyżówki chińskiej, zwłaszcza o ile działać będzie w porozumieniu z Anglją, jedynem mocarstwem białem, rozporządzającem na Dalekim Wschodzie znaczniejszemi siłami. Konsolidacja zupełna Chin nie leży jednak w interesie ani jednego ani drugiego z tych mocarstw, zjednoczone Chiny zwróciłyby się bowiem niechybnie przeciwko eksploatującym ich słabość cudzoziemcom, nie robiąc zbytniej różnicy pomiędzy europejczykami a japończykami, hegemonji japońskiej bowiem Chiny bynajmniej nie zniosłyby chętniej od europejskiej, same pretendujące do kierowniczej roli w ruchu panazjatyckim.

Bądź co bądź grożące nam widmo czerwono-żółtego niebezpieczeństwa zostało i to może na zawsze zażegnane. Z jednej strony bowiem chaos i anarchja, panujące w Chinach, potrwają jeszcze zapewne czas bardzo długi, o ile wogóle bez obcej interwencji dadzą się opanować. Faktyczna niepodległość Chin nie zyskałaby na takowej rzecz prosta. W obecnych zaś warunkach postulaty kultury i cywilizacji imperatywnie wymagają obrony koncesyj europejskich w państwie środka, bez względu na to, że samo ich istnienie stanowi ustawiczną prowokację dla chińskiej dumy narodowej i że sposób ich wymuszenia swego czasu przy wykorzystaniu słabości i zamieszek chińskich był bez wątpienia ciężkim błędem ze strony zarozumiałej Europy w stosunku do Chin, mszczących się obecnie przy lada sposobności za tak częste znieważenie ich godności i praw suwerennych. Zmudna robota nad odbudowaniem nadwerężonej wojną równowagi gospodarczej świata nie zniosłaby obecnie ponownego wstrząsu, wywołanego ewentualnem zablokowaniem rynku chińskiego, udostępnionego wyłącznie przez koncesje europejskie w portach cińskich.

Z drugiej strony konflikt pomiędzy dyktatorem mandżursko - pekińskim a ociekającymi krwią katami Rosji upawnił całą słabość państwa sowietów, którego szantażom i straszakom państwa europejskie tak długo biernie się poddawały w panicznym lęku przed fikcyjną potęgą promotorów wszechświatowej rewolucji. Komunizm, oparty na ciemnocie ludzkiej i karygodnej tolerancji „liberalnej" państw Europy, okazał się kolosem o glinianych nogach, dawno już zmurszałych. Taki stan rzeczy winien logicznie również otrzeźwić nieco rusofilskie zapały Niemiec, marzących o podważeniu traktatu wersalskiego przy pomocy tegoż państwa bombastycznego bluffu. W tym kierunku też szły cały czas usiłowania dyplomacji angielskiej w Berlinie, świadomej niebezpieczeństwa dla solidarności Europy traktatów w Rapallo i Berlinie i dążąca za wszelką cenę do pozyskania Niemiec dla koncertu europejskiego i współdziałania w obronie cywilizacji zachodniej drogą obezwartościowania sojuszu faktycznego niemiecko - rosyjskiego. Wbrew zaślepieniu nacjonalistów niemieckich będących obecnie u władzy, świadomość ryzyka igrania z ogniem moskiewskim zaczęła przenikać powoli coraz szersze kręgi społeczeństwa niemieckiego.

Niestety jednak zaślepienie, naiwność i skłonność do zgubnych iluzyj, brzemiennych w bolesne rozczarowania nie pozwalają jeszcze Europie na tą solidarność i konsekwencję, które napewno i niechybnie szybko doprowadziłyby świat do otrząśnięcia się z pod zmory, dokuczającej nam wciąż jeszcze komuny. Polska dała już dostateczne dowody zrozumienia konieczności modus vivendi z Sowietami: na drodze tej kroczyć będzie wytrwale, dążąc do względnie jaknajlepszych rezultatów, nie robiąc sobie jednak iluzyj i traktując ten problem z należytym realizmem. Tymczasem większość państw członków Ligi Narodów, zbyteczny zgoła udział Sowietów w międzynarodowej konferencji gospodarczej traktuje jakgdyby poważnie, w nadziei na pozytywne rezultaty ich kollaboracji, ułatwiając im w ten sposób jedynie ich grę, polegającą na usiłowaniu wprowdazenia konia trojańskiego do gmachu genewskiego, tej jedynej dziś poważnej twierdzy solidarności Europy i świętości traktatów pokój poręczających. Cały system gry dyplomatycznej, której pierwszem realnem zwycięstwem miało być Locarno, z chwilą ewentualnego a przewidywanego już obecnie ze strony niepoprawnych oficjalnego wejścia Rosji do Ligi, runie jak domek z kart, zamiast bowiem upragnionego celu solidarności państw europejskich wraz z Niemcami w obronie pokoju, największa dlań groźba w postaci sojuszu niemiecko - rosyjskiego, nietylko zostałaby wzmocniona i utrwalona, lecz uczynionoby z niego jako najpotężniejszego wówczas w nim bloku podstawę całego gmachu genewskiego, w istocie swej wręcz przeciwnym temu sojuszowi intencjom służącemu. Podstawy pokoju światowego znalazłyby się wówczas w powietrzu. Jakich zaś korzyści spodziewa się świat, oparty o zdrowe zasady kapitalistyczne, po współudziale państwa uosabiającego ich negację, w dziele dźwignięcia gospodarki światowej z ruiny obecnej do pozoimu równowagi przedwojennej, to już pozostanie zagadką naiwnych miłośników ciągłych rozczarowań i zaburzeń, względnie też polityków, będących sprężynami tajemniczych światobórczych celów, maskujących się mianem liberalizmu.

Rewolucja rosyjska była w swojej istocie okrutną i krwawą reakcją „Eurazji" przeciwko narzuconej jej przez Piotra Wielkiego cywilizacji europejskiej. Została też ona w Rosji obecnej dokładnie wytępioną. Następnie Rosja przybrawszy postać egzekutywy wojującej komuny międzynarodowej, uczyniwszy swojem znamieniem pentagramę (gwiazdę pięcioramienną), wszczęła gwałtowną ofenzywę, po części orężną, po części propagandystyczną przeciwko Zachodowi, którego symbolem kulturalnym pozostał Krzyż. Ofenzywa ta, w znacznym stopniu dzięki opoce polskiej załamała się. Próba odegrania się w Chinach nietylko zawiodła lecz i zdemaskowała całą obłudę i nicość sowiecką. Tajemnicza ręka wydobyła jednak z powrotem państwo Antychrysta z otchłani zasłużonej kapitulacją Kremla przed Czang - Tso - Linem kompromitacji z powrotem na światło dzienne i oddało mu głos ważki w aeropagu zbawienia świata. Lecz choć „nie tędy droga", możemy być z góry pewni w tej walce Krzyża z pentagramą zwycięstwa tych ideałów, którym i my służymy i których „wrota piekieł nie przemogą nigdy".

A. Chyszowski

ŻYCIE POLITYCZNE

CZY NIEMCY WCHODZĄ W GRĘ W SPRAWIE NASZEJ POŻYCZKI ZAGRANICZNEJ?

„Tygodnik handlowy" w numerze z dn. 29-go kwietnia r. b. zamieścił notatkę pod tytułem: „H. Ford potwierdza zarzuty Wł. Grabskiego", w której czytamy:

„W numerze z dn. 2 kwietnia „Dearborn Independent", organu H. Forda, czytamy: „Podbój Europy przez bankierów zrobił tak wielkie postępy, że musiał się nareszcie uwidocznić". Dalej znajdujemy cytaty z depesz z Paryża znanego, jak go nazywa organ Forda, korespondenta zagranicznego Arno-Dosch-Fleurot, z których nabardziej znamienne są ustępy następujące: „Nowy Jork, Londyn i Berlin są w przededniu połączenia swych finansów, by wspólnie finansować nowopowstałe państwa Europy, i dodaje, że „pierwszym posunięciem będzie pożyczka dla Polski". Depesza ta, jak pisze organ Forda, odkrywa ogniwa pomiędzy bankierami a Ligą Narodów". Współpraca, brzmi depesza, rady ekonomicznej Ligi Narodów zostanie osiągnięta drogą udzielenia sankcji i kierowania polityką ekonomiczną, lecz nie zostanie wyznaczony żaden bezpośredni kontroler ze strony Ligi, jak to było w Austrji, Węgrzech i Bułgarji. Kontrola będzie więc przeprowadzona w sposób delikatny, gdyż Polska nie jest skłonna poddać się finansowej dyktaturze. Projekt powyższy unika obrazy dostojeństwa narodowego Polski, pomimo, iż jest on częścią ogólnego planu ugruntowania jednolitego wpływu na większość państw Europy". A dalej depesza głosi: „Ideja powyższa prawdopodobnie została zapoczątkowana przez dyrektora Angielskiego Banku Normana, który otrzymał na nią sankcję od poważnych grup finansowych podczas swego ostatniego pobytu w New-Jorku. Jeśli plan zostanie wykonany, interesami Europy będą kierować New-Jork i Londyn i w nie mniejszej mierze Berlin".

Pierwsze ostrzeżenie Polski przed zorganizowanym kapitałem międzynarodowym przy pożyczce zagranicznej zjawiło się w artykułach Wł. Grabskiego, zamieszczonych w „Kurjerze Warszawskim" z dn. 11, 12 i 13 marca. Ostrzeżenia przed tem, że w kapitale zorganizowanym w New-Jorku są wpływy Niemiec, a egida Londynu na ogół przyjęto z niedowierzaniem. Zjawili się krytycy. Gdy Wł. Grabski ostrzeżenia swoje powtórzył po powrocie naszych delegatów z Ameryki i po rewelacjach uczynionych w „Czasie", które utwierdzały przypuszczenia o wpływach niemieckich przy pożyczce, powstał w obozie rządowym alarm i na Wł. Grabskiego posypały się napaści, że „psuje interes państwa", opierając się na „bezsensownych plotkach". „Czasowi" nakazano się wyprzeć tego, żeby on otrzymywał informacje od delegata rządowego p. Krzyżanowskiego i stworzono atmosferę, jakoby Wł. Grabski walczył „z urojonemi niebezpieczeństwami".

Jakże by to było szczęśliwem dla Polski, gdyby to, co czytamy w organie amerykańskim okazało się istotnie urojeniem. Ale czem objaśnić sobie to, że właśnie piszą o tych niebezpieczeństwach wpływów niemieckich przy pożyczce amerykańskiej dla Polski sami amerykanie. Gdy pisał o tem Wł. Grabski, dostały mu się epitety różne, by go zniechęcić do zabierania w tej sprawie głosu. Może Ford zapisał się do Grabszczyków? Ale to mało chyba prawdopodobne.

W wieku XVIII jakże wielu polakom wydawało się najzupełniej nieprawdopodobnem to, co dla obcych było bardziej jasnem, niż dla nas samych. Mieliśmy wtedy różnych gwarantów, jaknajlepiej przecież niby nam życzących. Mieli oni swoje partje na swoje usługi, swoje obozy złożone nawet z patrjotów. Ale wiadomo do czego to wszystko zmierzało. Inni doskonale wiedzieli, dokąd to zmierza, tylko nie my sami. Czy czasem teraz nie powtarza się coś w tym rodzaju?

Być może, że błędne są informacje korespondenta paryskiego do pism amerykańskich. Ale wobec takiego niezbitego faktu, że takie informacje istnieją, czyż wolno potępiać tych polaków, którzy zalecają najdalej posuniętą ostrożność, by Polska nie dała się omotać sidłami, jakie na nią Berlin, sekundowany przez Londyn, mający poparcie finansistów New-Jorku nastawia?"

KSIĄŻKI I PISMA NADESŁANE

„Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny". Zeszyt II-gi. Na treść zeszytu składają się Artykuły: „Zbrodnie stanu" przez prof. Makarewicza; „Rada prawnicza" przez prof. W. Makowskiego; „Historja ustroju Polski porozbiorowej" przez J. Siemieńskiego; „Druga inflancja polska" przez prof. Wł. Grabskiego; „Statystyka produkcji przemysłowej" przez Edw. Szturm de Sztrema; Przegląd Piśmiennictwa, Przegląd Prawodawstwa, Orzecznictwa Sądu Najwyższego i Najwyższego Trybunału Administracyjnego, oraz Kronikę Ekonomiczną.

„Statystyka Pracy", kwartalnik. Rocznik VI, Zeszyt I. Statystyka Pracy przekształconą została w roku bieżącym na kwartalnik, zawierający prócz szczegółowych zestawień tabelarycznych również i artykuły, dotyczące poszczególnych zagadnień, wchodzących w zakres Statystyki Pracy, a mianowicie: Brunona Balukiewicza — Stan rynku pracy. Jana Derengowskiego. Ruch emigracyjny pomiędzy Polską a Stanami Zjednoczonemi. Jana Derengowskiego — Próby porównań międzynarodowych płac realnych. Zatargi płacy. 1. Strajki i lokauty w III kwartale 1926 r. Tadeusza Bartnickiego — Ubezpieczenie na wypadek bezrobocia w Polsce i zagranicą.

„Handel Zagraniczny Rzeczypospolitej Polskiej", miesięcznik. Zeszyt 1 i 2. Wydawn. Gł. Urzędu Statystycznego. Zeszyty zawierają dane, dotyczące obrotu towarowego Polski w m. styczniu i lutym 1927 r. Od roku bieżącego Gł. Urząd Statystyczny wprowadził do miesięcznika przy nazwach poszczególnych towarów również i odpowiadające im pozycje taryfy celnej według stanu z dnia 1 stycznia 1927 r., powiększając przez to znacznie praktyczną wartość tego wydawnictwa.

WARUNKI PRENUMERATY OD 1 STYCZNIA 1927 R.

Rocznie 4 zł., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. Z przesyłką pocztową: rocznie 4.50 zł., półrocznie 2.25 zł., kwartalnie 1.15 zł.
ZAGRANICĄ: rocznie 5 zł., półrocznie 2.50 zł., kwartalnie 1.25 zł.

Cena numeru pojedyńczego 40 groszy. **Konto czekowe P. K. O. № 12.899**

PRENUMERATĘ UISZCZAĆ MOŻNA ZA POŚR. P. K. O. ORAZ KSIĘGARNI M. ARCTA, NOWY ŚWIAT 35.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: PODWALE 15. TELEFON 52-19.

Redaktor i Wydawca: **HENRYK TETZLAFF.** Sekretarz Redakcji: **KAZIMIERZ MORA-BRZEZIŃSKI.**

Tłoczono w „Drukarni Mazowieckiej" w z. Polskiej Powszechnej Spółki Wydawniczej. Warszawa, Szpitalna 1. Telefon 49-04.